Nr. 2. **Kuryerek Poznański.** Rok 1.

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień, w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartalna wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza.

Poznań, dnia 19. Kwietnia 1865.

Zamiejscowi prenumerować mogą na pierwszy kwartał tylko w księgarniach, miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego, ulica Strzelecka Nr. 1.

USTĘP
Z PAMIĘTNIKÓW SOŁDATA.

W roku 1850. batalion, gdzie się znajdowałem, doznał tyle przyciśnień, zdzierstw, kradzieży ze strony majora, że oburzenie powszechne wywołało zmowę (rzecz rzadka w armii moskiewskiéj) i postanowiono jednogłośnie zanieść skargę. Oczekiwano więc przeglądu niecierpliwie, rachowano dnie i godziny, z upływem których szmer się powiększał; w ostatniéj zaś chwili, gdy dano znać o przybyciu do Uralska jenerała, sarkanie żołnierstwa zamieniło się we wrzawę. Całą noc spać mi nie dano i spoglądałem w milczeniu na kółka spiskowych, odbywających walne rady w kątach sali. O godzinie trzeciéj z rana gefrejterowie przynieśli polecenie feldfebla, aby się odziewać w pełne uniformy. Trudno sobie wyobrazić temu, kto nie służył w wojsku moskiewskiém, co to znaczy ów pełny uniform; co on zawiera mosiądzów, rzemieni, juków; cały majątek sołdacki sztucznie zwinięty, powiązany, który błyszczeć powinien na karku, głowie i ramionach. Cokolwiekbądź, przygotowani od dawnego czasu na paradę, o godzinie czwartéj z rana wystąpiliśmy w szyku pod bronią na plac musztry. O wpół do piątéj przybył felfebel, aby zobaczyć czy wszystko w porządku. Potrzeba było czekać do godziny szóstéj na kapitana; o siódméj zaś przyjechał major dowódzca.

Byłem bliskim mdłości. Ból piersi od ścieśnienia mi dokuczał, a rozpiąć się było niepodobna. Widziałem jak niektórzy w szeregach upadali od znoju i jak odprowadzano ich do lazaretu. Wtém nadjeżdża jenerał.

— Jak się macie dzieci? — zawołał za przybyciem.

— Zdrowia życzymy waszéj przewoschodności! — ozwał się tłum nasz, gdyby mruk stu niedźwiedzi.

W bębny uderzono, w trąbki zadęto, zaczęły się manewry, rozwijania, krzyżowania, polowania na urojonego nieprzyjaciela, sygnały i strzały. Obroty wojenne ożywiły mię, chociaż pot występował w perełkach na mundurze. Czekałem końca, ciekawy jaki obrot weźmie skarga sołdacka. Lecz zauważywszy wesoły humor jenerała, pomyślałem: pan inspektor coś bardzo wesół.... musiał dostać dobrego kubana.... sołdaci przegrają sprawę.

I dziwna rzecz! w téjże saméj chwili przypomniał mi się stary kościołek modrzewiowy z plebanią otoczoną sadem, do którego, będąc niegdyś podlotkiem, studencikiem na wakacyach, przez płot przełaziłem, aby księdzu na psotę otrząsać małgorzatki. Szczęśliwa młodość. W każdéj życia dobie mile ona nam przyświeca....

Nagle inna myśl dyplomatyczna zajaśniała lotem błyskawicy w méj głowie. Jenerał, powiedziałem sobie, musiał się już porozumieć z majorem, bo zwykła rola inspektora w Moskwie jest być kwaśnym i ganić wszystko, a tu rzecz ma się przeciwnie... jenerał i major są więc na dziś przyjaciele... a kapitan Menszow, klin załażący mi za paznogcie, jest wrogiem majora; bywały między nimi spory, nastręcza mi się więc sposobność pozbycia się zwierzchnictwa kapitańskiéj mości — daléj do dzieła!

Tak rozumując, oczekiwałem pory i oświadczyłem majorowi, że mam do niego ważnę prośbę. Wziął mię na stronę. Zapytałem, czy mi pozwoli zanieść zażalenie na kapitana. Spojrzał mi w oczy, uśmiechnął się, potrząsł głową i rzekł z miną zadowolenia:

— Ty szlachcic, ty możesz.

Właśnie téż komenda jeneralska: „Prawe i lewe skrzydło zachodź! podoficery na stronę!“ rozległa się po placu. Chwila ważna, chwila uroczysta. Zrobiliśmy koło, wpośrodku którego złotem obszyty inspektor (Tołmaczew), obsypany gwiazdami i *chrestami*, błyszczał jako słońce. Popatrzał na nas trochę, gotując się do wielkiéj perory urzędowéj, chrząknął, zażył tabaczki i zawołał:

— Dziękuję wam, dzieci, żeście ucieszyli moje jeneralskie serce, wystąpieniem godném ruskiego sołdata. Kazałem wam dać po czarce wódki. Jedyna rzecz mię zasmuca, mnie waszego naczelnika, ojca i opiekuna, że są między wami niewdzięczni carowi za to, że ich żywi i odziewa, i że na nieszczęście nadstawiacie im ucha. Ci *wolnodumcy*, *kusiciele*, co mają języki bez kości, które mielą bez sensu, mogą w błąd wprowadzić poczciwych sołdatów. A wtedy biada wam, dzieci moje, biada! Sprują starszym szewrony i trzeba będzie na nowo zacząć służbę, pożegnać się z nadzieją obaczenia kiedyś rodziny: rozsypią batalion pomiędzy różne pułki, ćwiczyć będą. Jedni z was wymrą w szpitalach, drudzy na zawsze zostaną zhańbieni czarną notą w wykazie ich służby. Oto, co czeka bezbożników za nieposłuszeństwo władzy! Czy słyszycie?

...Ale może ja się mylę, może was niewinnie posądzam. Daj Boże żeby tak było! *Rabiata!* czy was dobrze karmią? czy chleb nie stęchły? czy w kaszy nie ma robaków? czy w *kazarmach* ciepło? hę? — gadajcie!...

— Tak! wrzasnęli żołnierze.

Téj odpowiedzi się spodziewałem, jakkolwiek była ona kłamstwem. Sołdat nie da innéj orderowemu namiestnikowi cara, jeśli widzi, że taka jest wola ostatniego. Trwoga sołdacka jest podobna do téj, która przejmowała dreszczem Izraelitów na samo imię groźnego Jehowy.

— A czy was nie biją bez śledztwa i sądu? — pytał daléj jenerał.

Milczenie.

— Jeśli którego biją, to pewnie na więcéj zasłużył. Komendant ukarze rózgą po ojcowsku i basta; nie dopuszcza aby sołdata gnojono w więzieniu i w dodatku pędzono przez pałki między szeregami, jako kryminalistę, publicznie, sromotnie. Wszak prawda dzieci? hę!

— Tak! — ozwały się tłumy.

— Więc spodziewam się, że nie macie żadnéj skargi?

Milczenie.

— A! to tak? Kto ją ma, niechaj wyjdzie natychmiast na środek!

Sołdaci stali nieruchomi gdyby posągi. Nikt się ani ruszył. Sam wystąpiłem.

Tołmaczew zmierzył mię chytrą mordeczką od stóp do głowy, a widząc żem się nie zmięszał, zawołał:

— Ty Polak!

— Tak, jenerale.

— Szlachcic?

— Tak jest.

— Dawno w służbie?

— Od roku.

— Jeszcześ rekrut. O co prosisz? hę!...

— O przeniesienie do innéj kompanii.

— Z jakiego powodu?

— Z powodu wymyślań, odgróżek i pomiatań kapitańskich, ubliżających godności wojskowego i godności mojéj.

— Eh! co tam z tą godnością.... Adjutant! zapisać jego nazwisko — przyzwać komendanta.

Major zadyszany nadbiega, i salutując ręką podniesioną, wyprężony staje.

— Majorze, jak się ten sprawuje? — pyta go inspektor, wytykając mię palcem.

— Bardzo dobrze, jenerale.

— Majorze, możesz odejść! Sołdaci, bądźcie zdrowi! dziękuję wam — już nikt nie ma żadnéj pretensyi.

Po tych słowach Jego przewoschodność zawracał się aby odejść, gdy w tém jakiś młody rekrut występuje niespodzianie. Był to świeżo zaciągnięty żydek. Niedoświadczony a zachęcony moim przykładem, zaczął się nieborak uskarżać, że gdy go uczą maszerować, za każdém podniesieniem nogi instruktor nie pozwala mu jéj spuścić, lecz woła: „A co, czy dasz na wódkę?“ że tym sposobem wyłudził już od niego wszystkie pieniądze otrzymane od matki przy pożegnaniu; ale że niedowierzając temu, morduje go jeszcze, bijąc szpicrutem, gdy nie może ustać na jednéj nodze....

Zażalenie to wywołało zgorszenie ogólne; do tego poczciwy żydek wyrażał się śmiesznie w braku znajomości języka, i zastąpił mimiką to, czego powiedzieć nie umiał.

Jenerał kazał zapisać jego nazwisko, a adjutant, satelita jeneralski, pogroził mu palcem. Pierwszy kiwnął ręką na sołdatów; ci wrzasnąwszy *hurra!* rozsypali się w pary, i *swobodnym marszem* pospieszali do koszar. Ja z nimi.

Nic komiczniejszego, nad ów marsz niby swobodny, w którym się przebija cała niewola moskiewskiego żołnierza.

W lewéj ręce trzyma karabin, oparty na ramieniu, prawą musi machać do taktu, zgodnie z towarzyszami. Owe poruszające się jednostajnie, machinalnie ręce kilkuset razem ludzi, ów ruch niby wolny a widocznie zmuszony, przedstawia widok śmieszny i przykry zarazem.

W koszarach dano nam owego czasu obiad znośny. Szafliki na zupę były wyskrobane i wymyte. Przy każdym stanęło po dziesięciu żołnierzy, dobywszy z za cholewek drewniane łyżki. Ponalewano w szafliki *szczy* (kapuśniaku); woń napełniła kuchnię. Główną nowalią, którą postrzegłem przy tym obiedzie, były oczka pozłoty, pływające po kapuśniaku; — jakoż i mięso nie cuchnęło, a cebry od wody napełniono kwasem na napój, do którego nie szczędzono dorzucić kawałków lodu — wszystko, aby się podobać jaśnie wielmożnemu inspektorowi.

We dwa dni potém przyszedł rozkaz dzienny przeprowadzenia mnie do innéj kompanii. Instruktora rekrutom zmieniono. Jenerał odjechał.

Ale miejscowy komendant, major Michajłow, zaledwie się pozbył swego dygnitarza, nie omieszkał wpaść do koszar, aby obaczyć żydka, co nie lubiał stać na jednéj nodze.

— *A sukinsyn!* — zawołał doń piorunującym głosem — jak ty śmiałeś języczyć? Skarżyć umiesz, a guziki masz niewyczyszczone. Gefrejterze, dać mu dwieście kijów i nauczyć polerować guziki!

Żydek zmrużył oczy z przestrachu.

Pochwycono go, odbito coś w nim i powieziono do lazaretu, gdzie życie zakończył. Okropny zgon jego przedstawiał się długi czas méj wyobraźni. Uległ barbarzyńskiéj karze iż poszedł moim śladem! Zżymałem pięści, miotany uczuciem pomsty, zgrzytałem zębami na moję bezsilność!

Na liście szpitalnéj położono napis obok nazwiska zamordowanego: *z woli bożéj umarł*, rzucono w dół martwe zwłoki, a pustynia stała się dlań grobowcem.

Rozmowa z dziaduniem.

Dziaduniu kochany, powiedz mi przecie —
Bo ty już długo żyjesz na świecie —
Jak to się stało, że dziś Polacy —
Chociaż ród jeden — nie są już tacy
Jako przed laty nasi ojcowie,
Z odwagą w sercu a statkiem w głowie,
Co ziemi swojéj strzegli tak dzielnie,
A na bój z wrogiem szli nierozdzielnie?
Jak się to stało mój dziadziu drogi,
Że dziś choć naród czerstwy i mnogi,
Tak się pomięszał z obcemi cechy,
Jakby już nie miał ojczystéj strzechy,
Jak gdyby z suknią, co nam ubyła,
Już się i dusza w nim odmieniła?

O smutne rzeczy pytasz dziecino,
Bo tu i z własną spotkasz się winą...
Chciałobyś wiedzieć, jak się to stało,
Że dzisiaj w rodzie krewnych tak mało?
Otóż posłuchaj, coć powie stary: —
Narody, dziecię, to jak zegary,
Co wtedy tylko tętnią i dzwonią,
Gdy Bóg je własną nakręca dłonią, —
A wszystkie kółka działają zgodnie; —
Lecz nam za grzechy a nawet zbrodnie —
Bo i te były moje dziecieczko —
Wytrącił szatan średnie kółeczko:
I ztąd nam wielka urosła szkoda,
Bo tém kółeczkiem to była zgoda!...
Odtąd też w różne poszliśmy strony: —
Jedni z niesławy zbierali plony;
Drudzy niepomni, że wolność święta,
Sami za złoto dali się w pęta:
A inni znowu maluczcy duchem,
Zmilkli pod srogim losu obuchem,
I tylko garstka, co wiarę miała,
Z orężem w ręku skonała!

Ach prawda, dziadziu, — smutne to rzeczy,
I niechaj Bóg nas ma w swojéj pieczy!

Niech zeszle skruchę na przeniewierce,
A trwożnéj dziatwie umocni serce:
Bo może nową złączeni spółką,
Znajdziemy nasze stracone kółko! —
Lecz mój dziaduniu, ja nie wiem wcale,
Zkąd na mnie wina spada w udziale?
Ja strzegę ojców i czci i wiary,
Dla czegóż spólne mam znosić kary?

Dziecię kochane — grzeszna twa mowa,
Bo cię twe własne winują słowa...
Cóż po twéj wierze, kiedy bezwładna,
Kiedy z niéj iskra nie strzeli żadna,
Coby pokrewną rozgrzała duszę?
Toć jaśniéj rzecz tę wyłożyć muszę:
Widzisz ma córko — wszyscyście winni,
Bo jedni głusi — drudzy bezczynni!...
Niedosyć mówić: „kocham i wierzę“,
Jeźli ta wiara w czyn się nie bierze,
Jeźli i tacy co działać mogą,
Każdy swą własną puszcza się drogą.....
Ale potrzeba kochane dziecię,
By z waszą chęcią szło w parze życie,
I byście wszyscy jak sznur żurawi
Lot jeden mieli — co wszystkich zbawi!...
Bo niedość, dziecię, mieć myśli jasne,
I w głębi serca życzenia własne: —
Tych świat nie widzi — a on nas sądzi,
To cóż dziwnego, że w zdaniu błądzi?
Jemu potrzeba czynów i znaków; —
A po czém dzisiaj poznasz rodaków?
Gdzież wasze cechy — gdzież strój odwieczny,
Co był tak piękny — a tak stateczny?!
Bo strój — dziecino — to rzecz niemarna,
Niejedno — suknia biała a czarna,
A kto swych ojców suknią pomiata.
W końcu własnego zaprze się brata;
Bo to upadku pierwsza przyczyna!...
A teraz wiesz już w czém twoja wina?

Oj wiem dziaduniu, i dzięki tobie,
Żeś mnie pocieszył w mojéj żałobie,
Bo wiem już teraz, co zrobić trzeba,
Aby zasłużyć na pomoc z nieba!...

Fr. W.

Alexander hr. Batowski.

Wielki Łowczy Królestwa Polskiego.

Alexander Benedykt hr. Batowski urodził się w dawniejszém województwie sandomirskiem d. 18. Maja 1760 r. z Antoniego Wojskiego Pilznieńskiego i Franciszki Paszkowskiéj, rodziców mających znaczenie w obywatelstwie i dostatni majątek. W młodym bardzo wieku udał się do Paryża z Pacem, marszałkiem konfederacyi barskiéj i przyjacielem ojca swego, tam przedstawiony ministrowi spraw zagranicznych Vergennes, z jego polecenia umieszczony w pułku francuzkim Royal Suedois, dosłużył się stopnia kapitana. W r. 1788 porzucił jednak zagraniczną służbę, a wróciwszy do Polski, wybrany został w r. 1790 posłem na sejm z województwa inflanckiego. Mowy jego sejmowe z tego czasu, drukowane były częścią w ówczesnéj Gazecie Narodowéj, częścią téż osobno. Następnie w r. 1791 mianowany był pierwszym sekretarzem nadzwyczajnego poselstwa do Berlina, w r. 1792 pełnomocnym komisarzem stanów rzeczypospolitéj do Kurlandyi, w latach zaś 1798 do 1807 ajentem polskim we Francyi, gdzie wszedł w śluby małżeńskie z panną de Wackiers, bogatą w Belgii dziedziczką. W tym téż czasie mieszkając ciągle we Francyi, miał sposobność zaznajomienia się tamże z najznakomitszymi owéj epoki mężami, z wielu w ściśléj żył nawet przyjaźni, szczególniéj zaś z księciem Talleyrandem, który im go więcéj do swoich osobistych widoków potrzebowwł, tém usilniéj do siebie przyciągał. Batowski téż piękną i powabną obdarzony postacią, celował gorącą miłością ojczyzny i żywym dowcipem, wykształcony wśród najznakomitszych towarzystw Francyi, przyjemny w obcowaniu, łatwy w pożyciu, przyciągnął do siebie wielu, a podobał się wszystkim i temu powszechnemu w nim upodobaniu, winien był niejedno szczęśliwe powodzenie.

Podczas wojny pruskiéj przedstawiony przez Talleyranda Napoleonowi, mianowany został komissarzem rady najwyższéj przy osobie cesarza. Po zawarciu pokoju w Tylży, Napoleon wysłał go do króla saskiego z oznajmieniem, że nowo utworzone Księstwo Warszawskie, pod jego przechodzi panowanie; a dając mu to polecenie, na dowód swego zadowolnienia z jego usług, odjął ze siebie krzyż legii honorowéj i nim własnoręcznie piersi Batowskiego ozdobił. Wtenczas także po zawarciu tylżyckiego traktatu, gdy Napoleon ubogacał marszałków swych dobrami w Księstwie Warszawskiém i zarazem z nimi kilku także Polaków do udziału tych nagród przypuścił, Talleyrand z rozkazu cesarza umieścił na liście mających być obdarzonymi także Batowskiego i wezwał go, aby sobie wybrał dobra jakie ze znacznym dochodem. Lecz Batowski czy zasługi swoje zbyt nizko cenił, czy téż zubożonego przez wojnę skarbu krajowego bardziéj jeszcze uszczuplać nie chciał, dość że tego wniosku nie przyjął i wzięcia jakiejkolwiek darowizny odmówił. Król saski zatrzymał go przy sobie i mianował posłem w Hiszpanii. Gdy jednak skutkiem zmiennych kolei wojny na półwyspie pyrenejskim, odwlekał się powrót króla Józefa do Madrytu, a tymczasem wojna na Północy wybuchła, król saski powierzył mu w r. 1812 stanowisko komissarza, do przyjęcia ambassady francuzkiéj, wysłanéj przez cesarza Napoleona do Warszawy, poprzednio zaś mianował go jeszcze krajczym Księztwa Warszawskiego. Po smutnym wypadku téj wojny, gdy władze rządowe opuściły Warszawę, Batowski udał się najprzód do Drezna, a ztamtąd wraz z Napoleonem do Paryża. Po zrzeczeniu się zaś przez cesarza tronu, osiadł Batowski w dobrach swych we Francyi, w zamku Carlopont, położonym o mil kilkanaście od Paryża. Tam szukał dla siebie rozrywki i przyjemności w bibliotece znakomitéj i bogatéj w dzieła starożytnych i nowożytnych pisarzy, a sprawując zarazem urząd miejscowego zwierzchnika gminy, tyle sobie lud wiejski téj gminy ująć potrafił, iż na znak wdzięczności i dla uwiecznienia po nim pamiątki, utworzyli z dobrowolnych składek uroczystość wiejską, za naczelnika jéj wybrali swego zwierzchnika i patent na to przez starców gminy w ręce jego złożyli. Tym upominkiem najwięcéj potém lubił się chlubić Batowski.

Lecz wkrótce większy go jeszcze dowód ufności czekał, gdyż po wylądowaniu Napoleona z wyspy Elby, został obrany przez gminę swego départamentu reprezentantem na pole Majowe, co było rzadkim zaszczytem dla cudzoziemca we Francyi. Powtórne wejście wojsk sprzymierzonych do Paryża, zastało go w téj stolicy gdzie w cichości mieszkał, ani usuwając się od nowych wypadków, ani łudząc się nowemi nadziejami. Cesarz rosyjski Alexander wezwał go w Paryżu do siebie, z nim odbył krótką i otwartą rozmowę, która go tyle ujęła i przekonała, że sprzedał swoje dobra we Francyi, zgromadził fundusze, zabrał rodzinę i z nią przybył do Warszawy, w zamiarze pozostania już na zawsze w swéj ojczyznie. Wkrótce potem w nowo utworzonem królestwie cesarz Alexander mianował go wielkim łowczym przy dworze swoim. Nie długim jednakże był pobyt jego w kraju, gdyż dla słabości swéj żony wyjechał z nią najprzód do wód, a ztamtąd po radę lekarską do Paryża. Nie pomogły jednak wszelkie zabiegi i starania i na zawsze swą żonę utracił, a wtenczas znów przez stosunki familijne i majątkowe swych dzieci, *znalazł się być podzielonym* między Francyą i Polską, do któréj ostatniéj już tylko niekiedy przybywał. Po raz ostatni był w Warszawie r. 1829, a wtedy otrzymawszy od cesarza pozwolenie mieszkania we Francyi, już więcéj do rodzinnego kraju nie wrócił. Był poprzednio bogatym, lecz ofiary na publiczne dobro i posługi, wreszcie hojna dobroczynność uszczupliły jego dochody. Lecz nie smuciła go mierność, a w ograniczeniu swych potrzeb znalazł prawdziwe bogactwa. Ostatnie lat dziesięć życia przebył u córki swéj na łonie rodziny, która go otoczyła uszanowaniem i pieczołowitością. Używał więc domowego szczęścia, nie był jednakże bez tęsknoty do rodzinnéj ziemi o któréj zawsze rozmawiać lubił, w listach do bliskich swych krewnych i przyjaciół do niéj wzdychał, przesyłał jéj swe życzenia i ją raz jeszcze oglądać się spodziewał. Śmierć jednak przerwała te nadzieje i po kilkotygodniowéj chorobie w cierpieniach życie zakończył, błogosławiąc swe dzieci trzymając ich ręce w ziębnących swych dłoniach. Ośmdziesiątletni już starzec, zakończył swój żywot dnia 29. Grudnia 1841 r. w Preiche we Francyi w departamencie Mozeli i pomnożył liczny szereg szanownych braci rodaków, którzy na obcéj ziemi swe kości złożyli.

Batowski odznaczając się przez swe wychowanie i oświatę, należał do rzędu znakomitszych osobistości panowania Stanisława Augusta i żył też w ściślejszych politycznych i przyjaznych stosunkach z ludźmi, którzy w téj epoce się odznaczyli, jak z Adamem Czartoryskim jenerałem ziem podolskich, Józefem Poniatowskim, Stanisławem księciem Jabłonowskim posłem w Berlinie, Ignacym i Stanisławem Potockimi, Julianem Niemcewiczem i tylu innymi. Cyceron, Tacyt i Horacyusz byli jego ulubionymi mistrzami, ostatniego zaś prawie całkiem umiał na pamięć i we wszystkich przygodach życia swego, miał zawsze na myśli jego zdania i powtarzał jego wyrazy. Kochał swój kraj, rozumiał położenie i znał potrzeby jego, nigdy się nie narzucał, lecz wezwany, z ochotą i gorliwością do posług krajowych się garnął. Pisał też w języku francuskim Pamiętniki epok do których należał, które zapewne z ciekawością czytane będą, jeżeli kiedy na widok publiczny się ukażą. Kajetan Koźmian który je czytał w rękopiśmie twierdzi, iż wszędzie w nich maluje się prawda, bezstronność, głęboka znajomość serca ludzkiego, trafność i podobieństwo rysów w obrazach osób, nigdzie zaś nie widać złości, zawiści lub uwłaczania ludziom. Owszem wszędzie spostrzegać się daje dobrotliwość duszy piszącego i ta łagodna filozofia, która woli naturze ludzkiéj pobłażać, niż ludzi spotwarzać. W ten sposób więc spędził wiek swój młody przyjemnie, męski pożytecznie dla kraju i świetnie, podeszły z pociechą, swobodnie i spokojnie. W polskim języku ostatnią swą wolę wyraził, w tym języku pożegnał swe dzieci i w nim pożegnanie krewnym i przyjaciołom przesłać polecił. Przeznaczył także między innemi mały datek dla szpitala Towarzystwa dobroczynności w Warszawie, jakoby przez to chciał złożyć wyraźny dowód, iż lubo daleko i od wielu lat oddalony, pamięć jednak rodzinnéj ziemi nigdy w nim nie wygasła. Sam sobie ułożył napis w następnych wyrazach: „Fragilitatis humanae memor, hoc sibi ipse monumentum posuit."

Nakładem znanego antykwarza J. Lisnera w Poznaniu, wyszła maleńka książeczka pod tytułem: *Życiorysy panujących w Polsce, od Mieczysława I. do Stanisława Augusta.* Książeczka ta zaleca się swoją praktycznością, na kilku bowiem małych karteczkach znajdzie każdy nakreślone dzieje ojczystéj historyi. Oprócz tego na pierwszéj kartce są fotografie wszystkich panujących od Mieczysława do Poniatowskiego.

Prenumeratę na Kuryerka Poznańskiego przyjmują: **Redakcya**, ulica Strzelecka Nr. 1.; p. kupiec **Kirszenstein**, ul. Wrocł.; p. księgarz **Rejzner**, ul. Wodna i narożnik Garbar; p. prof. **M. Braun**, Garbary wielkie; p. kupiec **J. Affeltowicz**, Chwaliszewo; p. kupiec **Cichowicz**, ul. Berlińska; p. **M. B. Dębiński i Sp.**, ul. Piaskowa Nr. 2.; p. **Dębiński**, organista arhidyecezyalny w psałteryi przy Tumie; p. **Ernest Malade**, ul. Frydrychowska Nr. 19.; również **wszystkie księgarnie zamiejscowe.**

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni M. Zoerna w Poznaniu.